BANCOLO

CZYLI

Jałmużna Artysty.

(DOKOŃCZENIE.)

Nowe powstały oklaski, lecz tym razem przy oznakach różnego rodzaju widocznéj przychylności. Wszystkie kobiety rzucały bukiety na scenę. Wieńce, palmy, sonety, wiersze, sypały się z wysokości sklepień pod stopy Poliszynella. Widziano nawet Książąt i Markizów, zdierających z piersi ozdoby i rzucających na znak cześci temu, który tak dobrze zrozumiał szlachetne powołanie aktora.

Bancolo kłaniał się i płakał. Podniósł rękę i wszyscy umilkli.

»Panowie, rzecze Bancolo, dzień dzisiejszy jest ostatnim dniem karnawału weneckiego; za godzinę ta pyszna sala zamieni się w salę balową, nie bierzcie więc za złe biednemu aktorowi co złożył swą maskę teatralną, że was prosi, ażebyście swe zabawy od dobrego i świętego zaczęli uczynku. Panowie! w chwili kiedy tu tańczyć będziecie w pośród rozchodzących się woni, przy odgłosie rozweselającéj muzyki, kiedy nie jeden z was przyciskać będzie rękę ukochanéj osoby siostry lub żony,... tam... w Afryce, chrześcianie bracia nasi jęczą i umierają w niewoli, wyciągają oni w chwili swego okropnego konania do nas ręce, więzami niewiernych

skrępowane. Panowie, w imieniu Nieba, udzielmy im wsparcie. Złóżmy! wy, rozkosze których mieliście używać, ja, wolność moję którą w progi domowe ponieść miałem, pod opiekę dobroczynnéj osoby. Na placu S. Marka, znajduje się uczciwy zakonnik klasztoru Odkupienia, który nasze ofiary przyjmować będzie. Idę tam, naśladujcie mnie, łaskawi panowie i wy szlachetne damy. Niech pierwszy raz może głos Poliszynella pójdzie w pomoc, tryumfowi miłosierdzia chrześcijańskiego.

Wszyscy powstali. Poliszynello zszedł poważnie z stopni teatru, a za nim cały tłum jaśniejący, przy okrzykach ludu. Orszak w towarzystwie gondolierów, służących mu za straż honorową, przybył na plac S. Marka, gdzie lew starozytny Wenecyi, zadrżał bez wątpienia na swéj bronzowéj podstawie, widząc wspaniałomyślność i wielkość tak okazale użyczających skarbów w nadmorskiem mieście, jak niegdyś w pięknych dniach walk i zwycięztw rzeczy-pospolitéj Neptuna.

W progu pałacu Orsinich, przewielebny ojciec Trynitarz, siedział na krześle z słoniowéj kości, po prawéj stronie stał sekretarz Apostolski, po lewéj zaś Senator rzeczy-pospolitéj. Około nich gorzały srebrne lampy, a sala pałacu w któréj niegdyś przebywali opiekunowie kościoła, ozdobiona była pysznemi obiciami. Miękkie kobierce tureckie, okrywały kamienną posadzkę.

Poliszynello za którym świetny postępował orszak, szedł zwolna pod milczącemi arkadami pałacu Orsinich. W chwili wejścia jak gdyby za pomocą czarodziejskiéj

sztuki, zniknął ubiór Poliszynella a Bancolo, ukazał się w stroju, jaki panowie Weneccy nosić zwykli. Wszedł; złożył worek złota przed zakonnikiem i rzekł przytłumionym głosem:

Przewielebny ojcze, uiszczam się z danego słowa i z długu za mego ojca. Proś ażeby i za mnie Bóg kiedyś okup przyjąć raczył.

Mój synu, rzecze pobożny Trynitarz, w każdym stanie zbawionym być można i mogę cię zapewnić że ze wszystkich ofiar, które odebrałem, jałmużna Poliszynella będzie najmilej od Boga przyjętą.

Summę którą tego wieczora zebrano w Wenecyi, liczono na 1,400,000 frank. Zapał był tak wielki, że widziano najpiękniejsze i najstrojniejsze damy, rzucające na stół iałmużniczy, pierścienie, branzolety, obrączki, ozdoby, wachlarze wysadzane dyamentami i inne wysokiéj ceny klejnoty. Gmin, który zwykł naśladować dobre uczynki, przyłożył się do składki ze swojéj strony. W kilka potem tygodni, szanowny i czcigodny Ojciec Trynitarz, przybył do Marsylii z potrzebnemi funduszami, celem wykupienia wszystkich chrześciańskich niewolników, nie tylko w Maroko, Tunis i Algierze znajdujących się, ale nawet tych, którzy na brzegach Tracji i Propontydy więzieni byli. F. S.

BELFEGOR

Powieść z dzieł Loeve Veimars.

W owéj porze i o téj godzinie gdy przechadzka publiczna w Brighton okryta jest mnóstwem dam z niechcenia rozpartych w powozach, i młodych lordów siedzących na wysokich faetonach, które bystro konie z szybkością strzały unoszą, lub z lekka pochylonych na angielskim biegunie, którego ogniste nozdrza ród arabski poświadczają, wspaniały kocz przemykał przez Oriental-Place, dążąc ku wybrzeżu. Dwa najszlachetniejsze rumaki drżały pod wędzidłem, za każdym krokiem długie ciskając piany. Roskosz była patrzeć jak niecierpliwe ich podskoki i dzikie uniesienia z łatwością hamowała spokojna i przezorna ręka woźnicy, flegmatycznie siedzącego na koźle, prawą ręką opierając bicz na udzie, a lewą unosząc długie cugle, których świetna białość połyskiwała przy jaśnéj i rzadkiéj błyskawicy bretońskiego słońca. Napoleon rozkazując konny swój portret wykonać Dawidowi, rzekł, aby go odmalował spokojnego na rozhukanym rumaku; pragnął tym sposobem wystawić potęgę i siłę. Każden angielski woźnica siedząc na galonowanym swoim koźle, wygląda zatem jak zdobywca.

Swietny powóz zbliżał się po żelaznéj kolei z łoskotem i szybkością potoku, pozostawując zdala za sobą dziwaczne budowle Brightonu, podobnego do indyjskiego miasta, zaczętego na zwaliskach greckiego grodu, a ukończonego przez Krysztofa Wreen lub Filiberta Delorme. Obok wysmukłych wieżyczek pagody, wybiegają-

cych z różańca kopuł, fantastycznemi powleczonych malowidły, wznoszą się kręte i koronkowane kolumny z wieku odrodzenia sztuk pięknych, kształtne wystawy naśladowane podług Rafaela i Celiniego, płasko-rzeźby, na których w długich wieńcach wiszą amorki, nimfy i kwiaty. Nieopodal zjawia się Egipt ze swemi obeliski, błękitnemi lotusy i śrebrnym ibisem; Chiny ukośne rzucają wejrzenie z po za wąskich drzwiczek z laki czarnéj nazygzakowanych złotem, gdy tym czasem Grecya ponad temi wszystkiemi dziwacznemi pomniki rospościera męzką piękność swych dorycki kapiteli, i obszerne gzymsy z marmuru wyspy Paros, smutne szczątki żadnego nie czyniące wrażenia, odkąd nieodbijają od lazuru attyckiego nieba.

Powóz zbliżał się ciągle, łoskot i szybkość podwajając; ze swym woźnicą tak spokojnym i niewzruszonym, iż najmniejszy pyłek pudru nie spadał z białéj jego peruki na brunatną liberyę; ze swemi ognistemi rumaki co tak powabnie brykały, wznosząc ku chmurom dumne głowy, strojne przy każdem uchu rozkwitłą różą; z dwoma wysokiemi lokajami na tyle, z których jeden uzbrojony ogromną laską ze złotą gałką, obaj milczący, wyprężeni, z płowemi włosy, w białych jedwabnych pończochach i złotym akselbantem na ramieniu, cechą ich poniżenia. Wszystko zdawało się być wyrachowane aby dowieść wyższości zwierząt nad rodem ludzkim, wszystko począwszy od niepohamowanego oburzenia koni przeciwko okrutnym cuglom kierującym niemi, aż do zajadłych szczekań dwóch chartów, pędzących przed za-

przęgiem, i zdających się urągać z poniżenia i smutnéj nieruchomości liberyi.

Zapomniałem wam powiedzieć, iż pomiędzy zwierzęcą rasą, a bardziéj jeszcze trudnym do oznaczenia rodem lokai, pomiędzy psami, końmi i służącemi, znajdowały się dwie ludzkie istoty, wygodnie siedzące w głębi powozu, byłto trzydziestoletni męzczyzna ze szlachetném i regularném obliczem, i dama całkiem ukryta w ogromnym kapeluszu z Florenckiéj słomy, osłoniętym sklepieniem piór białych, z któremi kapryśnie igrał podmuch wieczornych wietrzyków.

Męzczyzna ani słowa nie mówił. Dama patrzała tylko przed siebie, wąhając kiedy nie kiedy wonny flakonik zawieszony u pasa.

Nakoniec powóz, ludzie i zwierzęta, przybyli na groblę; kształtną budowę, kończącą się małą wieżyczką, która służy za morską latarnię. Tutaj morze niejakąś przybiera elegancyę; rzekłbyś, iż lżéj fale swe toczy po tym drobnym piasku, deptanym przez kwiat angielskiego dworu. Wody jego spławiają jedynie do téj przystani wspaniałe pakeboty, lekkie brygi lub świetne yachty. Nigdy ciężka tratwa sosnowego drzewa, naładowana smołą, ani kupiecki galar, nie schańbiły arystokratycznych jéj nurtów. Niekiedy czółn pełen jaj Normandzkich, owoców, świeżego złotawego masła z Isigny, przybija do szlachetnéj grobli, podobnie przyjęty jak się przyjmuje do pałacu wieśniaka, zaopatrującego stoły magnatów. Ta grobla i ten port stworzonemi są jedynie aby służyły za miejsce przechadzki dla bogaczów

i szlachty. Wiatr co tu powiewa zaokrągla tylko żagle królewskiego batu, lub rozwija jedwabne bandery żeglarzy iżby wyższéj. Fale rozbijają się o same złocone rufy; słowem, ta przystań godną byłaby przyjąć eskadrę Johna Russel, owego dwornego admirała, co na stu-sążniowéj kufie ponczu manewrował machoniowemi szalupy, na których siedzieli majtkowie w jedwabne strojni szaty, trzymając długie srebrne łyżki zamiast wioseł.

Mieszczanie Brightonu oddychali świeżem powietrzem na piaskach przystani, kobiéty ukrywając twarz pod przyłbicą z zielonéj gazy, owinięte w fałdy szkockich tartanów, walcząc z radośnym powiewem zdającym się chcieć je pozbawić tego okrycia; męzczyzni zagrzebani w długich surdutach, na twarzy z wyrazem zamożności i dumy, jakowy widok wody słonéj wszystkim Anglikom nadaje. Młodzieniec łagodnéj i poważnéj twarzy oparty w tył łokciami o poręcz grobli, obojętnie w około siebie spoglądał, zwracając szyldkretową lornetkę, to na pieszych przechadzających się po piaskach, to na jezdców i powozy szybko przemijające po grobli. Skoro tylko z najdaléj postrzegł ów kocz o bystrych koniach, nie przestał mu się przypatrywać, i kilka nawet kroków postąpił aby lepiéj rozpoznać całość cudownego zaprzęgu. Co raz to więcéj zdawał się go zajmować ten widok; coraz bliżéj się przysuwał, i wkrótce ujrzał się o kilka kroków przed koczem. Zatrzymał się, znowu wziął lornetkę, zdał się przez chwilę sam ze sobą naradzać, potém podniosł rękę, i skinął z uszanowaniem na osoby znajdujące się w głębi powozu. Mę-

zczyzna siedzący w koczu, dotknął z lekka stangreta końcem laseczki; i raptem zatrzymały się konie, wdzięcznie wyprężając przednie swe nogi.

— Przepraszam Milordzie, że ci przerywam przejażdzkę,—odezwał się młodzieniec.

Milord uważnie na niego spojrzał, i nie odpowiedział ani słowa.

— Masz prześliczne konie, milordzie. Konie czystéj rasy?....

Milord uczynił znak potwierdzający.

— Nie wiem,— odezwał się znowu z pomięszaniem młodzieniec, kładąc rękę na piersiach;—nie wiem, milordzie, jak ci wyrazić powód co mnie zmusił, mnie obcego, nieznanego tobie, do zatrzymania twego powozu. Przybywam ze Szkocyi, milordzie, aby użyć przyjemności i zabaw Anglii. Nazywam się Beauclerc, milordzie.

Milord się ukłonił.

— Horacy Beauclerc, najstarszy syn księcia de Camarthen, i dziedzic jego parowstwa...

Dama, która nie raczyła dotąd obrocić na niego oczu, zaczęła mu się przyglądać.

— Lękam się, milordzie, ażeby mój tytuł nie zwiększył jeszcze bardziéj w twych oczach nieprzyzwoitości mego postępku. Lecz szalona żądza opanowała mnie, skorom ujrzał twój powóz, i nie byłem w stanie jéj powściągnąć. Ale też dotąd nikt nie widział jeszcze podobnych koni, jak twoje, milordzie."

I to mówiąc miłośnie na nie spoglądał, i schylał się, aby przypatrzyć się ich nogom.

— Powóz jest roboty Browna, — rzekł, rzuciwszy okiem na stalowe buksy kół. Słynie nawet w Edynburgu, i prawdziwie zasłużył na swoją sławę. Posłuchaj milordzie, chociaż miałbyś rozkazać wybić mnie swoim ludziom, muszę ci uczynić propozycyę. Zamyślam z jak największą okazałością pokazać się w Anglii, i właśnie myślałem jak mam urządzić moje powozy gdym kocz twój postrzegł. Na słowo! gdym zobaczył te konie, tę liberyę, ten powóz, szalona opanowała mnie zazdrość, nie potrafiłem się jéj oprzeć... I muszę wyznać że przyszło mi do głowy, iż może, Milordzie, przystaniesz na odstąpienie mi tego wszystkiego.

We Francyi, podobna propozycya zaprowadziłaby prosto do domu warjatów; w Anglii taka drobnostka zadziwić nawet nie może. Milord odpowiedział, iż bardzo mu przykro że nie jest w jego możności uczynić téj przysługi młodzieńcowi, gdyż tylko ten kocz i te konie ma w Brighton, a reszta pozostała w Londynie.

Nie stracił odwagi młodzieniec i uczynił uwagę, że przecie nie o tysiąc mil znajdują się od Londynu.

— Ale mój młody paniczu, — odpowiedział milord, może nie wiesz jak wiele mnie kosztują te konie. Harry, — spytał stangreta, — jak wiele dałem za te konie?

— 1500 szterlingów, Milordzie.

— A niegodziwy Brown utrzymuje że kocz wart 500 liwrów, dla tego ze ressory są, jak je nazywa, *silversteel*. Dodaj pan do tego zaprzęgi tych szlachetnych Nordkumberlandzkich rumaków, i liberyę co tych gałganów okrywa, a przekonasz się że to nie bagatela. Podobne

szaleństwa trzeba zostawić starym głowom jak moja, co odziedziczyły swoje parowstwo i nie potrzebują nikomu rachunku zdawać. Racz przyjąć tę przestrogę jak od przyjaciela, młody mój paniczu.

Odprawiający ukłon towarzyszył tym wyrazem, a baczny stangret już podnosił bicz aby popędzić konie, wierzgające z niecierpliwości.

— Jeszcze chwila, Milordzie, przez litość. Jeśli tylko chodzi o 2000 f. szt. dotrzymam targu.» I w mgnieniu oka wyjął z pugilaresu dwa weksle na bankiera londyńskiego i złożył je na kolanach Milorda.

— Jakto młody przyjacielu, chciałbyś natychmiast mojego kocza i ludzi?

— Po tysiąc razy przebacz, Milordzie, alem cię uprzedził że prośba moja będzie niegrzeczną.

— No, — rzekł Lord wstając, — wszak przysłowie powiada, że koń kupiony i obiad zapłacony, muszą być wydane natychmiast. «Williamie, podaj mi surdut. Od téj chwili należysz do tego pana, i ty także Tobiaszu. Mistrz w sztuce stangreckiéj, upewniam cię młodzieńcze. Bywaj mi zdrów, wierny Argos, — rzekł znowu pieszcząc jednego z chartów, — bywaj zdrów, bo i ty także do targu należysz.»

Wdziawszy surdut i wziąwszy laszeczkę z rąk lokaja, Lord odchodził i rzucił ostatnie jeszcze spojrzenie na konie i powóz.

Młody nieznajomy tymczasem po tysiąc razy go przepraszał, nie otrzymując jednak żadnéj odpowiedzi na swoje grzeczności. Widząc nakoniec iż odchodzi, i nie

myśli bynajmniéj o damie, odezwał się z zadziwieniem:
— «Jakto, Milordzie! i Milady także?»

Lord obrócił się z roztargnieniem, chwilę popatrzał na nieznajomego.

— «Zgoda! i Milady także.»

I odszedł spokojnie, zostawując osłupiałego młodzieńca, który jednak wkrótce się namyślił. Wydał rozkaz, wskoczył śmiało do kocza, i zajął miejsce Lorda obok młodéj piękności.

Cały Londyn znał Almę, piękną ujeżdzaczkę z cyrku Astleja. Modne dzienniki przez długi czas o niczém nie mówiły tylko o Almie, jéj czarnych oczach, jéj czarnych włosach, jéj smukłéj kibici, wdzięku z jakim dosiadała konia, zgrabności z jaką przez dwa lub trzy przeskakiwała konie, anielskiéj skromności i lubym ukłonie. Trzeba ją było widzieć, gdy zeskakując ze siodła na piasek ujeżdzalni, wstrząsała w około siebie fale muślinowéj tiuniki wyszywanéj złotem, wzdętéj lekkością biegu. Nagle, w chwili opuszczenia szranków, szybko odwracała się Alma, zginała jak wielka szpizrózga, i jednym rzutem przeskakiwała drzwi zagrody. Ze wszystkich części Anglii zbiegano się, jedynie aby ujrzeć ukłon Almy.

Jakże piękną była Alma nakoniu! Któżby nie pragnął mieć taką kochankę! Co za rozkosz widzieć kochankę swoją zawieszoną pomiędzy niebem a ziemią, z gołą szyją i ramiony, włosem rozwianym, nóżką uwięzioną w atłasowym koturnie, lekko dotykającą z dysza-

nego rumaka, co na odgłos trąb puszcza się z wichrem w zawody! Miga jak błyskawica przed tysiącem twarzy osłupiałych z ukontentowania i podziwu. Każdy chciwem okiem zachwycić żąda choć fałdek jéj szaty, promień włosów, lubą piersi wypukłość. Ale okrutna wraz szybciéj ucieka, uchodząc przed najbystrzejszém spojrzeniem! Nie słyszy nawet krzyków radości którą obudza, jak nimfa powietrzna szybuje po nad tłumem, obojętna na hołdy ulatające pod jéj stopy, jak kłęby czeczego dymu kadzideł; jeśli niekiedy raczy zniżyć spojrzenie na uwielbiającą tłuszczę, spostrzega tylko szerokie koło głów pomięszanych, ścisniętych, napiętrzonych jedna po nad drugą, jak owa czarna jasność którą Dant zwieńcza czoła potępieńców w swojém piekle. Cały ten szereg głów, młodych, starych, czarnych, płowych, rudych, łysych, z przerażającą kręci się w około niéj szybkością; kręcą się kolumny, draperye, światła, sam odgłos trąb kręcić się nawet zdaje. W ówczas zdaje się Almie że ona i koń jéj biały, zatrzymane potężną prawicą, wiszą nieruchome po nad tym obracającym się światem. Już przestały tętnić kopyta po piasku. Czuje świeżość unoszącego ją obłoku, co owija ją jak przezroczysta siatka, nie widzi już wszystkich tych twarzy, które ją widzą także tylko jak przez zasłonę; lecz kołysana w powietrzu, ulatująca prawie w niebiosa, postrzega, rozróżnia tego, którego kocha. Pośród tych iskrzących oczu co się toczą jak ognisty wianek, jego tylko postrzegła oczy! A gdy zdyszana, obłąkana zeskakuje na ziemię, śród grzmotu poklasków i tysiąca okrzyków, przed ko-

chankiem to zatrzymuje się, i w powabnym ukłonie trymf mu swój w hołdzie składa! Oto los tego, który od Almy kochanym będzie!

Książę Minto, szlachetny Par Angielski, którego obszerne włości aż trzy prawie zajmowały hrabstwa, wielce był znudzony, wielce przesycony błękitnemi oczami swéj żony, jéj blado-płowemi włosy, rozdzielonemi na czole jak u Madony Rafaela lub Guida; znudzony niezmienną pogodą jéj spojrzenia i anielską spokojnością jéj poruszeń. W powozie, przy stoliku herbatowym, w loży, zawsze i wszędzie księżna była taż sama; z uśmiechem słuchała pierwszéj sceny Don-Żuana Mozarta; ten sam uśmiech służył jéj za odpowiedź na jaką grzeczność; ten sam uśmiech niosła do kościoła, na bal, na przechadzkę; nie opuszczał ją gdy była zamyślona, bo księżna nigdy się nie zamyślała, całą noc podczas długiego i spokojnego snu ulatywał na jéj ustach. Księżna Minto pewno kiedyś i w trumnie miała się uśmiechać.

Uśmiech ten w rozpacz wprowadzał księcia, byłby oddał jednę ze swoich majętności, byle ujrzeć żonę płaczącą lub nieco chód jéj przyśpieszyć. Pewnego razu umyślnie w tym celu rzucił ulubionego jéj pieska do wody. Księżna okazała lekkie poruszenie obawy, potém patrzała spokojnie jak biedne zwierzę passowało się boleśnie. Innego razu wielkiemi krzyki zaczął wołać ją na ratunek. Słowem, probował wszelkich sposobów jakie tylko zdolne są wzruszyć kobiétę i wielką damę: żaden mu się nie udał.

Minto-House i Minto-Lodge, posiadłości księcia w Londynie i na wsi, dyły to dwa zaczarowane raje, w których brakowało tylko węża. Uderzenia wiejskiego zegaru, ćwierkanie konika polnego, turkot kołowrotka staréj niewiasty, nie bardziéj są jednotonne, jak życie które wiedziono we wszystkich miejscach ozdobionych herbami rodziny Minto. Wist, herbata, łagodna i pobożna rozmowa, wizyty czynione i odbierane z jak największą ceremonią, przejazdzka powozem niezmiennie do jednego skierowana miejsca; takie były zabawy Milady. Zawsze była wyprostowana i dumna, blada, biała, nieruchoma, wiodąca wszędzie za sobą spokojność i milczenie. Zdawało się, że jakowyś ukryty płyn w około niéj się rozlewał, tak pogoda i nieruchomość księżnéj udzielały się wszystkiemu co ją otaczało. Służący nie zbliżali się do niéj tylko ze spuszczonemi oczyma i obwisłemi rękoma; skoro ją z najdaléj postrzeżono, zaczęta kłótnia cichła natychmiast; żony przestawały obmawiać mężów, mężowie bić żony, konie uderzać podkową o ziemię, psy wyć patrzając na księżyc. Książę utrzymywał nawet, iż przeklęty uśmiech co go wszędzie ścigał, udzielał się wszystkiemu co otaczało jego żonę, że wszyscy śmieli się u niego, począwszy od staréj klucznicy, aż do Sidi-Allego, młodego lwa Afrykańskiego.

— »Czy pojdziemy dzisiaj na operę, kochana Hannah? spytał żony pewnego wieczora. — Najchętniéj, Henryku. — A gdybyśmy też pojechali do teatru-królowéj, zobaczyć bitwę pod Austerlitz? — Z ukontentowaniem,

kochany Lordzie. — Nie wiem jednakże czy kobiéta pewnego stopniamoże się pokazać w Queen's Teatrze? — I ja tak myślę jak ty, Henryku. — Jak ja, Hanah, a cóż ja myślę? — Pytam się właśnie o to, mój Lordzie. — A ja Milady, żądam żebyś choć raz miała własną wolę. — Wszakże mam wolę, kochany Lordzie!. — I jakąż to? — Podzielam wolę twoją. — Ach! mój Boże! czyż ja mam czas myśleć za ciebie, Milady!... a dwór, a parlament, a kluby a wyścigi! Posłuchaj, Milady, rozkazującem mężem może być tylko turek, co całe życie siedzi z założonemi nogami na sofie. Rządzić kobiétą, jestto zatrudnienie zajmujące wszystkie chwile, a ja nie mam czasu być panem. Zaklinam cię, Hannach, racz sama siebie prowadzić. Myśl przynajmniéj choć trochę wraz ze mną. Bo doprawdy nie mogę dłużéj wystarczyć za dwoje myślić"

Księzna położyła na stoliku chustkę którą haftowała, i z uśmiechem spojrzała na księcia Minto; wielkie jéj błękitne oczy roztworzyły się jeszcze większe jak zwykle. Niezrozumiała ani słowa z tego co powiedział.

— »Kiedy tak, Milordzie, to pojedziemy na operę, rzekła. — Niech i tak będzie, moje kochanie. Myślałem jednakże o cyrku Astleja. Mówią o zachwycającéj istocie. Nie masz że ochoty zobaczyć ową Almę? — Jeśli ci się tak podoba, to pojdę Henryku, — Ale chcesz tego przynajmniéj? — Zapewne że chcę Henryku, wszak chcę to wszystko co sam zechcesz, Milordzie."

Milord tyłem się do niéj obrócił.

— O Boże! jakże jestem nieszczęśliwy! wołał prze-

biegając pokój.—O Boze! jakże jestem nieszczęśliwy! jakże zazdroszczę przyjemnego pożycia Sokratesa z Ksantypą!"

Alma urodziła się w Wenecyi. Sklawończyk kupił ją od matki, i udzielił jéj szlachetnego talentu tańczenia na szczudłach, przeskakiwania przez gołe szpady, i robienia piruetów przy odgłosie kastanietów. Miała za towarzysza tych ćwiczeń młodego Minorkana, który wkrótce znany był całéj Wenecyi pod imieniem Belfegora. Belfegor w piętnastym roku podobny był do najpiękniejszego z portretów Tintoretta, do portretu Don Żuana, któren widzimy w sławnym jego obrazie zaślubin, znajdującym się w Wenecyi w kościele S. Pawła i Jana. Officerowie niemieccy zgromadzali się co wieczór na placu Santa-Maria-Formosa, gdzie Belfegor pokazywał sztuki zręczności, i zawsze nazywali go pomiędzy sobą Don-Żuanem. Roskosz była patrzeć jak dokazywał na wyścigi z piękną Almą, po starym tureckim kobiercu, rozciągnionym przed starożytną świątynią, słabo objaśnioną latarniami tego skromnego widowiska, których światło rozchodziło się wzdłuż słupów portyku, melancholiczną rzucając jasność na zwieńczające got rzy popiersia Capellów. Belfegor, Don-Żuan, bardzo był w guście dam Weneckich. Alma zachwycała niemieckich officerów. Damy nie wykradły Belfegora; lecz pewnego wieczoru, gdy nadeszła godzina pokazywania zręczności swych uczniów, stary Sklawończyk postrzegł, że mu jednego z nich brakuje. Jakiś wojskowy porwał Almę i uwiózł ją do Wiednia.

(Dokończenie nastąpi.)

Pani Persiani

(Szkic Biograficzny.)

Urodzona w Rzymie dnia 4 Października 1812 r. młoda Fanny Tacchinardi nie była przeznaczoną od swojéj rodziny do zbierania laurów drammatycznych. Pan Tacchinardi nie chciał swéj wystawiać na niebezpieczne koleje teatru, przeciwnie tylko życzył sobie, ażeby przy sławie i z pracy jego zebranym majątku, widzieć w młodéj Fannie szczęśliwą małżonkę i szczęśliwą matkę, którąby dach ojcowski za jedyny i świetny miała horyzont. Ten zamiar Pana Tacchinardi również był przejęty przez matkę Fanni, kobiétę niezmiernie bogobojną, która na samą myśl widzenia córki na scenie, uczuwała wstręt, tak dalece, że gdyby kto w tenczas był przepowiedział sławę jaką dziś dzierży pani Persiani nieochybnie za szalonego byłby od niéj poczytany. Jakkolwiek od dzieciństwa starano się od niéj usuwać zdania światowe, młoda dziewczyna okazywała jednak, szczególną skłonność do sztuki scenicznéj. Dziewięć lat mając, póty nie chciała brać lekcyj spiewania od ojca póki nie miała na sobie cós teatralnego.

Pewnego dnia Mombelli, znakomita śpiewaczka będąc obecną na lekcyi muzyki téj młodéj dziewczyny, tak została wzruszoną, że uściskała Fanny ze łzami w oczach, a nie mogąc znaleść słów w prozie na wyrażenie swego uniesienia, ofiarowała jéj sonnet.—Panna Tacchinardi, dochodziła w tenczas 11 roku wieku. Ten dowod po-

dziwienia dany przez bezstronnego sędziego, jakim była Mombelli, uczynił wielkie wrażenie na młodéj artystce; życzyła sobie może w ów czas głośniejszych oklasków, obszerniejszéj sceny, jednakowóż przez miłość ku matce poświęciła pierwsze marzenia sławy.

We dwa lata późniéj pani Tacchinardi umarła. Fanny stawszy się słuszną osobą, z całym zapałem poświęciła się muzyce, odgłos o jéj talencie doszedł do uszu Wielkiego Księcia Toskańskiego, u którego w ów czas pan Tachinardi był pokojowym śpiewakiem. Wielki Książę chcąc sam sądzić o talencie młodéj Fanni, zniewolił go że ona dała się słyszeć w kilku koncertach, które Książe w czasie postu dawał u siebie i była nader pochlebnie przyjętą.

W roku 1830 źjścił się zamiar pana Tacchinardi, Fanni została szczęśliwą małżonką utalentowanego kompozytora. Persiani cała poświęcona miłości dla męża, którą narodzenie pożądanego syna tém bardziéj zwiększyło, żyła aż do roku 1832 w głębokiéj samotności.

Wowczas zdarzenie nadspodziewane, zmieniło przeznaczenie pani Persiani. W Liwurnie ogłoszono przedstawienie opery: *Franciszka z Rimini*, w któréj dwie bardzo znakomite śpiewaczki w dwóch głównych rolach wystąpić miały. Lecz chwila próby nadcszła a jedna ze spiewaczek na czas nie przybyła, gwałtem zatrzymana przez Florentczyków nie mogła stawić się w Liwurnie aż na przyszłą porę roku. Co czynić w takim razie? Dyrektor teatru i kompozytor są w rozpaczy, w tym przychodzi jedemu z nich na myśl że córka p. Tacchinardi mieszkająca o kilka mil od miasta może ich wyprowadzi

wszystkich z kłopotu, pani Persiani z początku długo się namyślała, lecz nareszcie za zezwoleniem męza i ojca przyjęła rolę w operze.

Reszty łatwo domyśleć się można. Pani Persiani takie miała powodzenie, że niepodobieństwem już było zaniechać scenicznego zawodu; w kilka dni po wystawieniu opery, podpisała ugodę z obowiązkiem wyjechania do Padwy.

Z Padwy udała się do Wenecyi, gdzie ją oczekiwała wielka sława. Dyrektor zawarł z nię układ, iż na téj scenie tylko grywać będzie, którą on za stosowną dla niéj uzna, przeznaczył jéj przeto teatr S. Samuela, ostatni z teatrów w Wenecyi. W tym samym czasie pani Pasta, śpiewała na teatrze del Fenice. Pani Persiani pierwszą tę obrazę mężnie zniosła, nie dając się tém wcale poniżyć, starała się w oczach publiczności podnieść scenę na którą ją nierozwaga Dyrektora wprowadziła. W krótce też nie mówiono w mieście jak tylko o wielkiéj śpiewaczce małego teatru i tłum cisnął się, aby ją słyszeć. Dyrektor widząc pełną kassę i obawiając się zmiany powodzenia, postanowił opuścić truppę i szukać gdzieindziéj losu.

Pani Persiani wśród tryumfów, nagle wstrzymać się i losem biednych kolegów zająć się była zniewoloną, inaczéj byliby poumierali z głodu. Szczęściem wdał się w to Gubernator Wenecyi i Dyrektorowi wielkiego teatru rozkazał, ażeby wystawił operę, w któréjby pani Persiani śpiewała obok Pasty. — Dano *Tankreda*, a mała Pasta również oklaskami okrywaną była jak i wielka. Hałas, wrzawa, powstały natenczas w Wenecyi: — jedni przyzna

wali wyższość dawnéj śpiewaczce, drudzy nie pojmując jak nawet można było porównywać, stawiali panią Persiani wyzéj nad nią. Pani Persiani występowała kolejno w *Romeo i Julii, Piracie, Sroce złodziéj* i *Napoju miłosnym* i w każdém z tych przedstawień publiczność jednomyślnemi oklaskami przyjmowała ją.

Ta walka, najswietniejszą epokę muzykalnéj sławy pani Persiani stanowiąca, zbyt wyczerpała jéj siły. Odpoczynek był jéj potrzebny; wróciła więc do Florencyi, gdzie ojciec ją zatrzymał.

Na wiosnę 1833 roku pani Persiani wyjechała do Medyolanu gdzie ją sława poprzedziła. Spiewała w teatrze Carccano w operach *Beatrix* i *Lunatyczce* Belliniego.—Wszelkich dokładano starań, najpochlebniejsze czyniono oświadczenia ażeby weszła do teatru i nie opuszczała Medyolanu. Nadeszła jesień, jednakże pani Persiani musiała odjechać do Rzymu gdzie również pochlebnie przyjmowaną była. W Rzymie na zimę 1834 r, napisano dla niéj dwie opery: *I promessi sposi* i *Misantropia i Pentimento,* do utrzymania których wiele się przyczyniła. Po powrócie do Florencyi w czasie postu tegoż roku, śpiewała w operze *Rozamunda* Donizettego, razem z panem Duprez, który zaledwie wsławiać się zaczął, odtąd przyniéj zniknęły jego tryumfy. W Neapolu w *Napoju miłośnym,* w Genewie w *Danae* pana Persiani. W Pizie w *Ottellu.* Wszędzie przyjmowaną była z niepojętém uniesieniem; a każde miasto któreśmy tu wymienili tysiącznych używało fortelów, ażeby ją zatrzymać u siebie.

(*Dokończenie nastąpi.*)